

JACQUES FUTRELLE

SAMOCHÓD WIDMO



FIKCJE I FAKTY 7/1987

Oślepiający błysk reflektorów przeszył mrok nocy, gdy samochód wypadł nagle zza zakrętu. Pędził teraz niewidoczny za jaskrawą powodzią blasku. Rytmiczny, chrapliwy warkot już z daleka pozwolił Bakerowi, policjantowi służby ochotniczej, domyślić się, że to samochód z silnikiem benzynowym, błyskawiczna zaś szybkość, z jaką przybliżyły się światła, uświadomiła mu natychmiast, iż ograniczenia prędkości obowiązujące na drogach hrabstwa Yarborough zostały nie tyle naruszone, ile absolutnie zignorowane.

Hrabstwo Yarborough były to przede wszystkim rozległe letnie posiadłości plus sieć dróg, wspaniale utrzymanych, równych jak stół i nieodparcie kuszących, by nie oglądając się na nic gnać z maksymalną szybkością. Władze hrabstwa skrupulatnie pilnowały jednak przestrzegania przepisów, tak dalece, że pół setki ludzi strzegło dróg, by ukrócić niesformość kierowców. Okazało się zresztą, iż skrupulatność ta przynosi doskonale dochody.

- Czterdzieści mil na godzinę, jak obszył - mruknął Baker.

Podniósł się ze składanego stołeczka, na którym zwykł siadać między szóstą po południu a dwunastą w nocy, wyjął latarkę, zapalił ją i poszedł ku szosie. Pełnił służbę tam gdzie zawsze - na skraju długiego odcinka drogi, zwanego przez wszystkich kierowców Pułapką. Było to miejsce szczególnie zdradliwe - idealnie gładka szosa, z obu stron otoczona wysokim kamiennym ogrodzeniem, z zakrętem wprawdzie łagodnym, nie na tyle jednak, aby z wlotu drogi widać było jej wylot. Policjant Bowman czuwał przy drugim krańcu Pułapki. Oba posterunki miały łączność telefoniczną, co umożliwiało porozumiewanie się policjantów i w razie gdyby jednemu nie udało się zatrzymać samochodu lub zanotować jego numeru, miał to uczynić drugi. Taka przynajmniej była teoria.

Zatem Baker z niezmałym spokojem czekał na poboczu. Zbliżające się światła były w odległości zaledwie kilkuset jardów. W odpowiedniej chwili Baker podniesie latarkę, samochód zatrzyma się, rozlegną się protesty pasażerów, po czym znowu zwiększy się fundusz, z którego hrabstwo czerpie na ulepszanie dróg i znów wzrosną pokusy szybkiej jazdy. Czasem jednak samochody nie zatrzymywały się. Do obowiązków policjantów należało wówczas spisanie numeru wozu i sprawdzenie nazwiska właściciela w co miesiąc aktualizowanym rejestrze. W takich przypadkach zawsze ściągano dodatkową karę.

Samochód pędził ku Bakerowi nie zwalniając ani trochę; wjechał na wiraż szerokim łukiem, by z pełną szybkością wejść na prosty odcinek Pułapki. W psychologicznie dobranym momencie Baker wskoczył na szosę i zaczął wymachiwać latarką.

- Stać! - krzyknął.

Lecz rytmiczny warkot narastał. W ostatniej chwili Baker uskoczył - robił to po mistrzowsku - sprzed pędzącego samochodu, który przemknął obok i wpadł w Pułapkę. Baker był tak zaabsorbowany ratowaniem własnej skóry, iż nie zdołał odczytać numeru rejestracyjnego. Nie przejmował się jednak zbytnio, gdyż wiedział, że z Pułapki nie ma ucieczki. Z jednej strony drogi gruby mur o wysokości ośmiu stóp wyznaczał wschodnią granicę wiejskiej posiadłości Johna Phelpsa Stockera, z drugiej zaś kamienne ogrodzenie wysokie na dziewięć stóp zamykało od zachodu posiadłość wiejską Thomasa Q. Rogersa. I nie było tam żadnego rozjazdu, miejsca ani sposobu wydostania się z Pułapki - musiało się wyjechać na jeden z dwu posterunków. Więc Baker, wcale speszony, sięgnął do telefonu.

- Samochód pędzi sześćdziesiąt mil na godzinę! - krzyknął. - Nie zatrzymał się. Nie zauważyłem numeru. Uważaj!

- W porządku - odpowiedział Bowman.

Dziesięć, piętnaście, dwadzieścia minut Baker czekał na telefon od Bowmana. Ale on milczał. Wreszcie Baker sam zadzwonił. Nie było odpowiedzi. Dzwonił parokrotnie, stuknął pięścią w aparat i coś pomajstrował przy słuchawce. Nie pomogło. W końcu zaczął się denerwować.

Dobrze pamiętał, jak ciężko poturbowany został strażnik pilnujący kiedyś drogi w tym

samym miejscu; gdy wyszedł na środek jezdni, jadący po wariacku kierowca ani nie zahamował, ani nawet nie próbował go ominąć. Baker wyobraził sobie Bowmana leżącego na jezdni, może ciężko rannego. Jeśli samochód pędził nadal z szybkością, z jaką przemknął obok niego, każdy, kto stanąłby mu na drodze, poniósłby niechybną śmierć.

Z takimi myślami błędzącymi mu po głowie, pełen niepokoju o Bowmana, Baker wyruszył w stronę drugiego posterunku. Nikły blask latarki wydobywał z mroku odpychające, kamienne ściany biegnące nieprzerwanie po obu stronach drogi. Nie było tam żadnej zieleni z wyjątkiem wąskiego pasma trawy rosnącej tuż przy murach. Im dłużej Baker rozmyślał, tym bardziej się niepokoił. Przyspieszył kroku. Minął łagodny zakręt i z daleka ujrzał wolno zbliżające się światło latarki. Najwyraźniej ktoś dokładnie sprawdzał obydwie strony drogi.

- Hej! - krzyknął Baker, gdy światło latarki było już blisko. - To ty, Bowman?

- Tak! - odrzyknął Bowman.

Światła latarek zbliżyły się do siebie i znieruchomiały. Niepokój Bakera zamienił się w zdziwienie.

- Czego szukasz? - zagadnął.

- Tego samochodu - odparł Bowman. - Nie przejechał koło mnie, pomyślałem więc, że się rozbił i poszedłem sprawdzić. Ale nie ma śladu.

- Nie przejechał? - zdumiał się Baker. - Jak to? Przecież nie zawrócił, ani nie zatrzymał się, bobym go spostrzegł. Musiał przejechać koło ciebie.

- Mówię ci, że nie - powiedział stanowczo Bowman. - Stałem na poboczu i czekałem. Ale od godziny nikt nie jechał.

Baker wznosił latarkę oświetlając twarz Bowmana. Przez moment obaj patrzyli na siebie. W bystrych oczach Bakera pojawił się błysk chciwości i podejrzliwości.

- Ile ci dali? - spytał.

- Co? - wykrzyknął Bowman głosem skrzywdzonej niewinności. - Nikt mi nic nie dał. Nikogo nie widziałem.

Baker pogardliwie wyduł usta.

- To uszłoby w raporcie służbowym - powiedział. - Ale mnie nie zbujasz. Ja widziałem samochód, wiem że nie zawrócił, że nie rozpląnął się w powietrzu i że musiał jechać koło ciebie. - Chwilę milczał. - Chyba należy mi się połowa.

Bowman miał tego dosyć. Usta wykrzywił w obraźliwym uśmiešku, widocznym w gęstwinie siwych wąsów.

- Myślisz, że skoro ty bierzesz, to inni też - wypalił. - Ja naprawdę nie widziałem tego samochodu.

- Czy nie dzielę się z tobą zawsze po połowie? - Baker zapytał tonem niemal proszącym.

- Nie widziałem żadnego samochodu. Nie mam nic do dodania. Skoro nie zawrócił, to go pewnie w ogóle nie było. - Zapadło milczenie; Bowman zastanawiał się nad jakąś szczególnie niemiałą insynuacją. - Miewasz przywidzenia i na tym polega kłopot - powiedział wreszcie.

Tak oto posiane zostało ziarno niezgody między dwoma funkcjonariuszami hrabstwa Yarborough. Demonstrując ironię i szyderstwo rozdzielili się wkrótce i każdy podążył ku swemu posterunkowi. Obaj byli głęboko pogrążeni w myślach. Tuż przed końcem służby, pięć minut przed północą, Baker zatelefonował do Bowmana.

- Przemyślałem całą sprawę, Jim, i myślę, że lepiej będzie pominąć ją milczeniem - powiedział powoli. - Po co się ośmieszać?

- Masz rację - zgodził się Bowman.

Nazajutrz stosunki między Bakerem i Bowmanem były cokolwiek napięte, jednak pomaszzerowali zgodnie na swe posterunki. Baker zatrzymał się u wylotu Pułapki. Bowman nawet się nie obejrzał.

- Oczy miej dzisiaj szeroko otwarte - zawołał na pożegnanie Baker.
- Wczoraj też miałem - odciął się Bowman.

Minęła ósma, dziewiąta. Dwa czy trzy samochody przejechały przez Pułapkę z umiarkowaną prędkością; jeden z kierowców został upomniany przez Bakera. Parę minut po dziewiątej Baker właśnie wpatrywał się w drogę, gdy nagle ujrzał coś, co poderwało go na równe nogi. Były to oślepiające, białe światła reflektorów, jeszcze daleko. Rozpoznał je natychmiast.

- Tym razem mi nie umkniesz - mruknął przez zęby.

Gdy pędzący samochód zbliżył się na odległość dwustu jardów, Baker stanął na środku drogi i zaczął wymachiwać latarką. Wydawało się, że samochód jedzie jeszcze szybciej - jeśli to możliwe - niż ubiegłej nocy. Kiedy Bakera dzieliło od maszyny sto jardów, zaczął krzyczeć. Lecz samochód nie zwalniał. I znów Baker uskoczył w ostatniej chwili. Kierowca zrzęcznie skręcił i ominął go. Auto przemknęło tuż obok.

Już bezpieczny, Baker obrócił się i wyteżył wzrok próbując odczytać numer rejestracyjny. Widział wyraźnie białą tabliczkę kolebiącą się z tyłu, ale nie mógł dojrzeć cyfr. Kurz i kołysanie się samochodu sprzymierzyły się przeciw niemu. Dojrzał jednak, że w samochodzie były cztery osoby; nikłe światło odbijające się od szosy wydobyło z mroku ich sylwetki. Snucie domysłów co do płci pasażerów okazało się daremne, gdyż błyskawicznie oddalający się samochód akurat śmignął na zakręcie i znikł.

I znów Baker pośpieszył do telefonu. Bowman natychmiast podniósł słuchawkę.

- Znowu ten samochód. Gna dziewięćdziesiąt mil na godzinę. Uważaj!
- Dobrze.
- Daj mi znać!

Ze słuchawką przy uchu Baker czekał dziesięć, może piętnaście minut, nim Bowman się odezwał.

- No i co? - spytał Baker. - Masz ich?
- Nic tędy nie jechało i nie jedzie - odparł Bowman.
- Ależ on wjechał w Pułapkę - upierał się Baker.
- Tu nie dojechał. Idź szosą, póki się nie spotkamy, i rozejrzyj się.

Powtórzyły się poszukiwania, jakie prowadzili ubiegłej nocy. Kiedy spotkali się w połowie drogi, ich twarze nie wyrażały niczego - były równie puste jak wysokie mury ogradzające szosę.

- Nic - powiedział Bowman.
- Nic - zawtórował mu Baker.

Bowman przechylił głowę i potarł podbródek porośnięty siwą szczecinę.

- Nie próbujesz mnie wykiwać? - zapytał chłodno. - Naprawdę widziałeś jakiś samochód?

- Naprawdę - odpowiedział Baker. W jego głosie kryła się zaczepka. - Widziałem go na pewno, Jim, i jeśli nie przejechał koło ciebie, dlaczego...

Zamilkł raptownie i obejrzał się szybko za siebie. To samo uczynił Bowman.

- Może... - powiedział po chwili Bowman - może to jest samochód widmo?

- Może - zadumał się Baker. - Sam wiesz, że nie ma sposobu, by wymknąć się stąd. A on znikł bez śladu. Gdzie mógł się podziać?

Bowman uważnie przyjrzał się Bakerowi, uniósł latarkę, z powagą kiwnął głową i wrócił na posterunek. Po drodze trzy razy obejrzał się ze strachem za siebie. Baker uczynił to czterokrotnie.

Trzeciej nocy upiorny samochód pojawił się i znikł dokładnie tak jak poprzednio. I znów Baker i Bowman spotkali się w połowie drogi i znów nic nie potrafili zrozumieć.

- Wiesz co - powiedział w końcu Bowman - może tobie po prostu się przywidziało. Może gdybym był na twoim miejscu, niczego bym nie zobaczył.

Baker był głęboko urażony.

- Jim - powiedział po chwili-skoro tak sądzisz, to zamieńmy się jutro miejscami. Nie musimy o tym wspominać szefowi.

- To jest pomysł! - zawołał Bowman z uznaniem. - Założę się, że niczego nie zobaczę.

Następnego wieczoru Bowman usadowił się na składanym krzeselku Bakera. I jednak zobaczył upiorny samochód. Przemknął koło niego z szaleńczą szybkością i ogłuszającym rykiem silnika i znikł. Nie było sposobu, żeby go zatrzymać. Bowman zawiadomił Bakera, który czekał pół godziny, lecz samochód jakby zapadł się pod ziemię.

Wszystko w końcu przedostaje się do gazet. Tak też było z historią samochodu widma. Reporter Hutchinson Hatch uśmiechał się sceptycznie, kiedy redaktor kroniki miejskiej, odłożywszy na bok nieodłączne cygaro, zwięźle referował fakty. Były one mało konkretne, nieuchwytnie. Ograniczały się właściwie do formalnego oświadczenia, że jakiś samochód, sądząc z pozorów materialny i rzeczywisty, co noc wjeżdżał do Pułapki, po czym zniknął jak kamfora.

Wiadomość ta była tak dziwna, że Hatch wybrał się do hrabstwa Yarborough, co zajęło mu godzinę jazdy. Spotkał się z Bakerem i Bowmanem, a następnie przespacerował się dwukrotnie, w biały dzień, szosą otoczoną murami. Zbadał Pułapkę dokładnie, bez pośpiechu, usiłując dociec, w jaki sposób - poza jedynym możliwym - samochód mógł się stamtąd wydostać.

Za pierwszym razem Hatch zwrócił szczególną uwagę na tę stronę drogi, do której przylegała posiadłość Thomasa Q. Rogersa. Wysoki na dziewięć stóp mur stanowił gładką kamienną płaszczyznę bez śladu jakiegokolwiek sekretnej bramy. Sekretna brama! Hatch uśmiechnął się pod nosem. Gdy jednak dotarł do wylotu Pułapki, do miejsca, którego pilnował Bowman, był absolutnie przekonany, że żaden samochód nie mógł zjechać z solidnie utwardzonej nawierzchni szosy przez mur, pod murem lub nad murem Rogersa. Wracając, również niespiesznie, Hatch przyglądał się uważnie stronie Johna Phelpsa Stockera i kiedy doszedł do drugiego końca Pułapki - obsadzonego przez Bakera - był z kolei absolutnie pewien, że żaden samochód nie mógł zboczyć z szosy przedostając się pod, nad murem ani przez mur Phelpsa. Jedyną przerwę w jednolitej ścianie stanowiła wąska ścieżka o szerokości nie większej niż szesnaście cali.

Hatch nie zauważył też żadnych zarośli, nic poza pasem pieczolowicie pielęgnowanej trawy. Żaden samochód nie mógłby się tu ukryć ani w dzień, ani w nocy. Hatch nie dostrzegł też żadnych szczelin w szosie, które mogłyby świadczyć o tym, że samochód zapadł się pod ziemię. Co skonstatowawszy, Hatch odruchowo spojrział w górę, w błękitne niebo. Przyszła mu do głowy cudaczna myśl, że może samochód jest czymś w rodzaju ptaka albo... albo... Hatch nagle się zatrzymał.

- Na Boga! - krzyknął. - Ciekaw jestem...

Resztę popołudnia spędził na systematycznych dochodzeniach, zbierając informacje. Chodził od domu do domu. Odwiedził posiadłości Stockera i Rogersa, które były teraz puste, zajrzał do altany i do szopy. Gdy jednak o siódmej wieczorem pojawił się na posterunku Bakera, nie wyglądał wcale na człowieka przytłoczonego nadmiarem informacji.

Omawiali razem co dziwniejsze szczegóły tej niepojętej sprawy, a tymczasem mrok zapadał coraz gęstszy. Zrobiło się wreszcie tak ciemno, że tylko światło latarki Bakera stanowiło jedyny jasny punkt w otaczającej ich nocy. Przejął ich nocny chłód, ich głosy stłumił lęk. Szosą od czasu do czasu przejeżdżał samochód i za każdym razem Hatch spoglądał pytająco na Bakera. Ale ten potrzasał przecząco głową. I za każdym razem zawiadamiał Bowmana o kolejnym samochodzie wjeżdżającym w Pułapkę.

- Na pewno przyjedzie - powiedział Baker po długim milczeniu. - Poznam go natychmiast, jak tylko wejdzie w zakręt. Poznałbym te światła wśród tysiąca innych.

Czekali w ciszy, palili. Niebawem dwa oślepiające światła zabłysły daleko na szosie i Baker, podekscytowany, upuścił fajkę.

- To on - oznajmił. - Patrz pan, jak pędzi.

Hatch patrzył. Szybkość, z jaką gnał ten samochód, zmuszała do uwagi. Dwa monstrualne światła zbliżały się i Baker bez przekonania powtórzył cały rytuał zatrzymywania samochodu. Ten śmignął obok nich, a wystarczającym dowodem jego materialności był pęd powietrza, który szarpał ich płaszczami. Hatch wyteżył wzrok usiłując odczytać numer rejestracyjny. Było to daremne. Tył samochodu nikł w wirującym tumanie pyłu.

- Ależ mknie ta maszyna - powiedział cicho Baker.

- Jak pocisk - szepnął Hatch.

Teraz, wyłącznie ze względu na obecność reportera, Baker zatelefonował do Bowmana.

- Jedzie! - wrzasnął. - Uważaj! Oddzwoń!

Bowman czekał dwadzieścia minut, po czym jak zwykle zawiadomił, że nic nie jechało. Hutchinson Hatch był spokojnym, opanowanym, trzeźwo myślącym młodym człowiekiem, ale teraz ciarki przeszły mu po plecach. Zapalił papierosa i otrząsnął się, by pozbyć się niemiłego uczucia.

- Jest sposób na to, aby dowiedzieć się, gdzie znika ten samochód - powiedział zdecydowanym tonem. - Trzeba postawić kogoś w środku Pułapki, tuż za zakrętem. Tam musiałby czekać i obserwować. Dowiedzielibyśmy się wreszcie, czy samochód wzbija się w górę, zapada pod ziemię, czy rozplywa w powietrzu.

Baker spojrzał na niego z ukosa.

- Za nic bym się tego nie podjął - oświadczył. Był wyraźnie zaniepokojony.

- Ani ja - powiedział Hatch.

Dzień później, w następstwie ukazania się w gazecie reportażu Hacha, przy Pułapce pojawiło się dwunastu dziennikarzy. Większość z nich ostentacyjnie demonstrowała sceptycyzm, niektórzy uważali historię za zmyśloną. Hatch uśmiechał się z wyższością.

- Poczekajcie - mówił przekonany, że samochód nadjedzie jak zwykle.

I oto panowie reporterzy, którzy przybyli tu z wielkiego miasta, postanowili uknuć spisek i przyłapać samochód widmo. Gdy zapadł zmrok, trzynastu dziennikarzy plus Baker i Bowman, w sumie piętnastu ludzi, ustawiło się w równych odstępach wzdłuż szosy, poczynając od stanowiska Bakera aż od posterunku Bowmana. Mieli obserwować drogę i później porównać swoje spostrzeżenia. Czekali na próżno. Tej nocy samochód nie przyjechał. Dwunastu reporterów obrzuciło Hacha obelgami, nie skąpiąc również dosadnych rad, co mianowicie powinien uczynić ze swym artykułem. A następnej nocy, gdy przy szosie czuwał tylko Hatch wraz z Bakerem i Bowmanem, samochód widmo pojawił się znów.

Jak dziecko ze swym zmartwieniem zwraca się do dorosłego, tak Hatch udał się ze swym problemem wprost do profesora Augustusa S.F.X. Van Dusena, znanego z genialnego umysłu i zwanego Myślącą Maszyną. Profesor cierpliwie słuchał opowiadania. Zezujące oczy wznosił w górę, złączył opuszkami długie, smukłe palce.

- Wiem oczywiście, że samochody nie wzbijają się w powietrze - powiedział z pasją Hatch kończąc swą opowieść - ale naprawdę nie ma innego sposobu wydostania się z Pułapki, jak ludzie nazywają to miejsce. Sprawdziłem wszystko bardzo dokładnie, do tego stopnia, że szukałem nawet na ziemi i na murach śladów jakiejś pochylni.

Profesor spojrzał na Hacha zezując badawczo.

- Jest pan pewien, że widział pan samochód? - spytał z irytacją.

- Oczywiście, że tak - wybuchnął reporter. - Nie tylko widziałem. Czulem zapach spalin. Żeby przekonać się o realności tego pojazdu, rzuciłem na szosę moją laskę. Zostały z niej drzazgi.

- To może rzeczywiście on fruwa - zauważył profesor.

Reporter spojrzał w jego spokojne, nieodgadnione oblicze przekonany, że się przesłyszał. Po chwili zmienił jednak zdanie.

- Myśli pan - zapytał z ożywieniem - że to coś w rodzaju latającego samochodu?

- Nie jest to wykluczone - odparł profesor.

- Też mi to przyszło do głowy. Usiłowałem dowiedzieć się czegoś od ludzi mieszkających w okolicy, ale do niczego nie doszedłem.

- A może jakiś śmiałek przeprowadza eksperymenty z lekkim samolotem i wykorzystuje doskonałą nawierzchnię drogi, gdzie można rozwinąć odpowiednią szybkość, jako pas startowy?

- Lekki samolot? - zastanowił się Hatch. - Czy mówiłem panu, że w samochodzie było czworo pasażerów?

- Czworo! - wykrzyknął profesor. - To zmienia postać rzeczy.

Profesor z dziesięć minut siedział w milczeniu. Drobne, ledwo widoczne zmarszczki porysowały jego wypukłe czoło. Wreszcie wstał i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Hatch usłyszał, że telefonuje. Po chwili profesor wrócił. Spojrzał krzywo na reportera.

- Sądzę, że interesuje pana tylko to, czy samochód jest ... hm, rzeczywisty i do kogo należy? - spytał.

- Tak - zgodził się Hatch. - I, oczywiście, dlaczego kierowca tak dziwnie się zachowuje i w jaki sposób wydostaje się z Pułapki.

- Czy zna pan może szybkiego rowerzystę długodystansowca? - spytał nagle profesor.

- Nawet wielu - odparł szybko Hatch. - Chyba wiem, o co chodzi, ale...

- Nie ma pan nawet najmniejszego pojęcia - stwierdził kategorycznie profesor. - Gdyby znalazł pan szybkiego kolarza, który byłby w stanie przejechać trzydzieści, czterdzieści, a może pięćdziesiąt mil, bez trudu rozwiązałibyśmy ten drobny problem.

I tak doszło do spotkania profesora Augustusa S.F.X. Van Dusena, doktora filozofii, doktora praw, członka Towarzystwa Królewskiego, doktora medycyny, etc. etc., przyrodnika i logika, z gwiazdą sportu kolarskiego, jaką był długodystansowiec Jimmie Thalhauer, mistrz świata. Pobił on wszelkie możliwe rekordy, poczynając od dystansu pięciu mil, poprzez wyścig sześciogodzinny, dwukrotnie wygrał zawody sześciodniowe i był absolutnie nie do pobicia. - Mistrz wszedł do gabinetu profesora zując wykałaczkę. Nastąpiła prezentacja.

- Pan jeździ na rowerze? - spytał mały, zrzędlawy człowieczek.

- Trochę - przyznał się mistrz skromnie, robiąc oko do Hatcha.

- Potrafiłby pan utrzymać się za samochodem na dystansie trzydziestu do czterdziestu mil?

- Za wszystkim, co nie ma skrzydeł - brzmiała odpowiedź.

- Szczerze mówiąc - wyrwało się profesorowi - coraz bardziej wygląda na to, że ten samochód je ma. Ale jeśli pan jest taki szybki...

- Pan żartuje - powiedział mistrz beztrąsko. - Przegonię wszystko, co jeździ na kołach. Wyruszę za nim i wyprzedzę go.

Genialny Mózg przyjrzał się mistrzowi jak jakiemuś osobliwemu okazowi. Zamknięty w zaciszu swej pracowni nie miał do tej pory okazji spotkać takiego światowca. Wreszcie spytał:

- Jak szybko potrafi pan jechać?

- Wstyd się przyznać - zwierzył się mistrz przyciszonym głosem. - Tak szybko, że sam się boję. - Milczał chwilę. - Myślę jednak, że przy takim dystansie lepszy byłby motocykl.

- Kłopot w tym - wyjaśnił profesor - że motocykl hałasuje. Gdyby nam to było obojętne, wynajęlibyśmy szybki samochód. A oto w skrócie nasz plan: pojedzie pan, nie włączając reflektora, za samochodem, który prawdopodobnie też będzie jechał bez świateł i zaobserwuje pan jego trasę. Żadna z osób jadących samochodem nic nie może podejrzewać.

- Z wyłączonym reflektorem? Jak tajniak?

Profesor wyglądał na zdezorientowanego.

- Tak - wyręczył go Hatch.

- To jest chyba warte czterospaltowego nagłówka, co? - spytał kolarz. - I specjalnych ujęć mistrza świata, co?

- Zgoda - odparł Hatch.
- „Cyklista na tropie”, dobry tytuł, co?

Hatch kiwnął głową.

Umowa stała. Teraz Genialny Mózg mógł już udzielić kolarzowi konkretniejszych wskazówek. Uczynił to tak, by reporter nie mógł rozszyfrować jego planu.

- Jest pan niezwykłym młodzieńcem - powiedział na pożegnanie profesor, patrząc z podziwem na muskularnego, wspaniale zbudowanego sportowca.

Gdy schodzili z Hatchem ze schodów, Jimmie uśmiechnął się lekko.

- Pomyłony staruszek, co?

Noc. Nieprzenikniona ciemność, bezgwiazdne niebo. Widać tylko błądy zarys wijącej się drogi. Z obu jej stron biegną cierniste żywopłoty, czasem drzewa wyłaniają się z mroku. W ciemności słychać przytłumione ludzkie głosy, warkot zapalanego silnika. Powoli, bez świateł, samochód wjeżdża na szosę. Ciszę przerywa nagle ryk silnika na wysokich obrotach i samochód gwałtownie przyspiesza.

Lekko zaszumiały liście, jakby pod tchnieniem wiatru, i od żywopłotu oderwał się cień. Szybki ruch, chrzest skórzanego siodełka. Samotny rowerzysta, nisko schylony nad kierownicą, pomknął bezszelestnie za samochodem.

Długi, pełen napięcia pościg. Miła za miłą, wciąż za pędzącym samochodem. Rowerzysta prawie przykleił się do samochodu i trzyma się go uparcie jak szybkobiegacz swego rywala na bieżni. Mkną razem przez mrok - kierowca doskonale znający trasę i samotny, nieugięty kolarz. Zaciśnięte zęby, muskularne nogi cisnące pedały z regularnością tłoków w rytm pracy silnika.

Boli wyschnięte gardło, pieką opuchnięte oczy, lecz rowerzysta instynktownie wyczuwa zwolnienie tempa i w mgnieniu oka pozostaje w tyle. Jedzie kierując się dźwiękiem. Samochód zatrzymuje się, rowerzysta znika w mroku.

Opuszczony samochód, z którego wysiedli pasażerowie, stoi dwie, może trzy godziny. Nareszcie słychać znowu głosy, samochód odjeżdża, za nim rusza cyklista. Kolejny pościg, lecz tym razem kierunek jazdy się zmienia. Wreszcie, ze wzniesienia, widać światła miasta. Po upływie dziesięciu minut samochód zatrzymuje się, zapalają się reflektory i auto już wolno, bez pośpiechu jedzie dalej.

Następnego wieczoru profesor Van Dusen i Hutchinson Hatch złożyli wizytę Fieldingowi Stanwoodowi, prezesowi banku Fordyce National. Stanwood był zaskoczony.

- Przyszliśmy by poinformować pana - wyjaśnił Genialny Mózg - że z pańskiego banku znikła skrzynka z papierami wartościowymi, prawdopodobnie obligacjami rządowymi.

Stanwood zbladł.

- Co? - wykrzyknął. - Rabunek?

- Wiem tylko tyle, że obligacje wyjął z sejfów pański kasjer Joseph Marsh - objaśnił profesor - i że wraz z trzema innymi mężczyznami wyniósł je z banku. Wiem, gdzie oni teraz są.

Stanwood rzucił mu zdumione spojrzenie.

- Pan wie? - spytał.

- Tak - odparł profesor.

- Zatem musimy natychmiast zawiadomić policję i...

- Nie wiem, czy rzeczywiście popełniono przestępstwo - przerwał mu profesor. - Wiem tylko, że każdego wieczora przez cały tydzień obligacje były wnoszone z banku za milczącą zgodą strażnika i że za każdym razem zwracano je w nienaruszonym stanie przed świtem. Tej nocy także zostaną zwrócone. Dlatego radzę, aby powstrzymał się pan od wszelkich działań, póki Marsh i jego towarzysze nie powrócą do banku.

W gabinecie prezesa Stanwooda zgromadziło się po północy osobliwe towarzystwo.

Był tam Marsh i jego trzech wspólnicy - już aresztowani - był prezes banku, profesor, Hatch oraz funkcjonariusze policji. W chwili, gdy został zatrzymany, Marsh miał przy sobie obligacje. Na pytania odpowiadał ze swobodą.

- Przyznaję - powiedział bez wahania - że przekroczyłem moje kompetencje wyjmując obligacje z sejfów, ale uważam, że nie ma podstaw do oskarżenia. Jestem odpowiedzialnym pracownikiem banku i nie nadużyłem zaufania. Niczego nie brakuje, nic nie zostało skradzione. Wszystkie obligacje wróciły na swoje miejsce.

- Ale dlaczego je pan zabierał? - dopytywał się Stanwood.

Marsh wzruszył ramionami.

- Chodziło o szybkie zabicie fortuny - wyręczył go profesor. - Przeprowadziliśmy dziś z Hatchem małe śledztwo. Marsh i jego kompani chcieli zająć się interesami wątpliwymi etycznie, lecz dozwolonymi prawnie. Poszukiwali poparcia finansowego - rzędu miliona dolarów. Czterech czy pięciu biznesmenów, którzy mieli wyłożyć te pieniądze, przyjeżdżało co wieczór do domku weekendowego Marsha, aby omówić szczegóły transakcji. Należało ich koniecznie przekonać, że Marsh i wspólnicy są również w stanie zainwestować milion dolarów. Pożyczali więc z banku obligacje i przedstawiali jako swoją własność. Na wieś i z powrotem jeździli pojazdem przypominającym do złudzenia samochód. Oto fakty, które odkryliśmy wspólnie z Hatchem. On zbierał informacje, ja wyciągałem logiczne wnioski.

Okazało się, że profesor nie mylił się. Marsh i jego wspólnicy przyznali się do wszystkiego. W drodze do domu Genialny Mózg wytłumaczył Hatchowi sprawę samochodu.

- Samochodem tym - powiedział - przewożono obligacje. Pomysł przyszedł przypadkowo. Tego wieczora, gdy po raz pierwszy zauważono samochód, Marsh pędził do swego domu, aby zdążyć na spotkanie z biznesmenami. Rzut oka na mapę drogową przekonał pana, że najkrótsza droga z banku do wiejskiego domu Marsha wiedzie przez Pułapkę. Jeśli założyć, że samochód pojedzie przez Pułapkę, następnie w jej połowie skręci w posiadłość Stockerów i, przecinając ją, dojedzie do innej drogi, to można zaoszczędzić co najmniej pięć mil. Było to warte zachodu. Samochód, którym wjeżdżali w Pułapkę, przebywał po prostu posiadłość Stockera, żeby znaleźć się na drodze, która do niej przylegała z drugiej strony.

- Ale w jaki sposób? - spytał Hatch. - Przecież tam nie ma przejazdu.

- Zatelefonowałem do Stockera i dowiedziałem się, że od małej furtki w murze do drogi na tyłach biegnie wąska ścieżka przecinająca jego posiadłość. Samochód - wiadomo nie był bynajmniej samochodem - były to dwa połączone ze sobą motocykle ze specjalnie przystosowanymi siedzeniami i układem kierowniczym. Armia francuska prowadzi eksperymenty z tego typu pojazdami. Motocykle można było oczywiście rozdzielić i przeprowadzić przez furtkę i ścieżkę. Siedzenia są lekkie - można je wziąć pod pachę.

- Och! - wykrzyknął Hatch. Po chwili spytał: - Ale jaka była właściwie rola Thalhouera?

- Czekał na tej drugiej drodze przy wylocie ścieżki - powiedział profesor. - Kiedy samochód został zmontowany na nowo, Thalhouer jechał za nim do domu Marsha i stamtąd do banku. Dzisiaj odkryliśmy wspólnie resztę. To kwestia logiki, tylko logiki.

Szli w milczeniu.

- Ten Thalhouer to świetny chłopak, prawda, panie Hatch?

Przełożyła DANUTA SĘKALSKA